

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy” Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.

Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II.

WARSZAWA, DNIA 5 LIPCA 1924.

Nr 43.

Krwawe owoce eksperymen- tury faszystowskiego.

Początek

Ruch faszystowski narodził się pod gorącym niebem boskiej, lecz burzliwej Italji, jako reakcja na bezwład, który, ogarnąwszy naród włoski po trudach wojny, zakradł się do steru nawy państwowej. Faktem jest, że po wojnie *prestige* Włoch, tracących powoli potężne atuty członka wielkiej Ententy, zdobyte przez udział w wojnie po stronie przeciwników Niemiec, staczał się coraz niżej.

Znalazły się w jego szeregach elementy młode, które przeszły wojnę z karabinem w rękę i jako takie są przepojone poczuciem szczególnego prawa własności ojczyzny, a z drugiej strony reprezentujące element tężyzny charakteru, nie znoszącej wszelkiego niezdecydowania, tchórzliwości i szkodliwego kunktatorstwa tam, gdzie trzeba tworzyć nowe życie i umieć brać za nie odpowiedzialność.

Wojna przordziła zasadniczy konflikt w psychice wszystkich narodów walczących.

Dla dyplomatów i polityków była ona kwestją gry. Dla społeczeństw, skutki wojny pośrednio odczuwających, przykrością, lub nawet nieszczęściem. Dla żołnierza zaś była kwestją życia.

Dyplomaci i politycy przegrali lub wygrali partję, ale w psychice ich nie zaszły głębsze zmiany. W ich pojęciu prawidła, ani elementy gry nie uległy zmianie. Powstały tylko

nowe zadania. Społeczeństwom, które, powtarzamy, pośrednio odczuły skutki wojny, pokój przyniósł wyłącznie nadzieje na powrót do dawnego *dolce far niente*. Żołnierz i ci, na których barkach spoczął cały ciężar krwawej gry polityków, powrócili z wojny przeistoczeni do gruntu. Nikt nie jest zdolny, na podstawie teoretycznych przesłanek, ocenić siły z jaką długie bratanie się ze śmiercią oddziaływa na charakter, na psychikę, na umysłowość człowieka — ile gliny przetapia się w ogniu bitwy na szlachetny kruszec, ile godności rodzi się w duszach bojownika, ile tkliwości dla ziemi obronionej, dla państwa własną piersią ocalonego kryje się w świadomości zwycięskiego żołnierza. Jest w nim bezmiar siły twórczej i kipiącej energii, nieosiągalny w żaden inny sposób.

Nie mogli też złożyć większego dowodu braku poczucia rzeczywistości politycy krajów zwyciężkich, którzy nie potrafili, lub nie wykazali nawet chęci wiania tego elementu, zaraz po ukończonej wojnie, w organizm państwowy — odświeżenia go jego młodością; którzy zapomnieli dopuścić do życia publicznego ten strumień świeżej krwi, stosując względem wczorajszego instrumentu swej gry przysłowie o murzynie, który zrobił swoje, a więc jest nie potrzebny.

Może w tym kapitalnym błędzie tkwi źródło eksperymentu włoskiego i hiszpańskiego, i zawiązek materiału wybuchowego narastający i w innych krajach.

Element wojskowy, upojony zwycięstwem i pełen poczucia swych praw do zabierania głosu w sprawach przed nieprzyjacielem obronionej ojczyzny, element reprezentujący charakter w spiżu rzeźbiony — odsunięty i zlekceważony przez ortodoksyjnych polityków z wysuszonym kręgosłupem, gubiących państwo, zorganizował się przeciwko nim. W ten sposób zrodzony konflikt, żołnierz włoski rozciął, niestety, mieczem.

Gdyby faszyzm miał na swym czele wielkiego statystę zdolnego ulokować jego kapitał moralny w masach swego narodu i zabiegać o powiększanie go w drodze normalnego narastania procentów; statystę któryby go oparł na szerokich zasadach moralnych i wyraźnym gruncie społecznym, rezygnując z osobistych ambicji cezarystycznych — mógłby się niewątpliwie stać potężną dźwignią odrodzenia Włoch na długie dziesiątki, a może i setki lat.

Z chwilą gdy stało się inaczej, gdy na czele młodzieży zdolnej do poświęceń i pełnej szczytnych aspiracji stanęli ludzie, być może nawet w szlachetne zapatrzeni cele, ale fantasty żądni tryumfów władzy — w stylu Benito Mussoliniego; gdy dla zrealizowania swych ambitnych planów, oderwawszy się od gruntu społecznego, sprzymierzili się z wszelkiego rodzaju mętami kierującymi biegiem nęcącej strugi złota — sprawa była z góry przegrana.

Tylko sprzymierzeńcy na długie lata ciężkiej, mozolnej i niebłyskocliwej pracy, są potomkami Katona. Tam, gdzie rozbija swe namioty chazard o wielką stawkę, tam gdzie wystarczy mieć złoto aby być dopuszczonym do gry, tam zawsze zbiegną się wszystkie męty i hjeny, wyrosłe i zbogacone na spekulacji. Są one też najniebezpieczniejszym źródłem natchnień dla ludzi bezgranicznie próżnych, do zaślepienia ambitnych i awanturnicznych, do jakich należy Mussolini.

Zamach stanu, gwałt na prawach parlamentu, oparty na sile miecza wyrwanego z rąk Sprawiedliwości i rzuconego tłumowi rozfanatyzowanych czarnych koszul, zgaszenie wszelkiego przejawu woli narodu siłą nieokietznanego terroru, ustanowienie dyktatury, z natury rzeczy najściślej zależnej od ciemnych elementów finansujących kosztowny eksperyment w celach dalekich od idealizmu — wszystko to złożyło się na wielki głaz zła, o który musiały potknąć się i rozbić najlepsze zamierzenia.

Wydaje się być pewne, że nie ma człowieka tak silnego, który by potrafił, osiągnąwszy władzę gwałtem, wyzwolić się nazajutrz z objęć swych popleczników i poddać się regułom parlamentarnego rygoru, ryzykując prawdopodobną klęską osobistą. Mussolini nie miał tej siły, nie wykazał jej i wówczas, kiedy urok jego imienia — mussolinizm, przerósł znacznie faszyzm.

Na jego usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że w pierwszej chwili po tryumfie zdawał sobie sprawę z konieczności uspokojenia krwiożerczych instynktów swych pretorjanów. Wówczas to, w mowie wygłoszonej w Senacie dnia 27 listopada 1922 r. zapowiadał: „to, co narzucę faszyzmowi, będzie końcem tych wszystkich akcji, które nie mają już racji istnienia, końcem tych wszystkich drobnych(?) gwałtów indywidualnych i zbiorowych, które trapią po części wszystkich, które są często rezultatem lokalnych stosunków i które mogłyby złośliwie naciągać się na ramy wielkich partji“.

Był to, niestety, śpiew łabędzi.

Mussolini od słów nie przeszedł do czynów. Jest on bowiem więcej aktorem pozującym się nie na cezara, niż realnym politykiem, liczącym się z psychologją mas i konsekwencją dnia dzisiejszego.

Plastyczną tego ilustracją są jego liczne mowy wygłoszane do izb parlamentarnych, wykazujące kompletny brak głębi myślowej dyktatora, a pełne na sofistycznych teoryjek i demagogicznych zwrotów retorycznych, często nieprzyzwoitych w ustach szefa rządu.

Łamiąc parlamentarnym Mussolini nie zastanawiał się czem go zastąpić. W jaki sposób chciał rządzić zgodnie ze skomplikowanymi wymogami życia? W jaki sposób chciał zachować równowagę rozbieżnych i różnorodnych interesów poszczególnych klas społecznych? Czem zamierzał zastąpić

parlament w dziele przestrzegania czystości rządów swoich współpracowników? — oto są pytania, na które nie było odpowiedzi.

Znieważywszy parlament w oczach ciemnej gawiedzi i mas upatrujących naiwnie w dyktaturze zaspokojenie tęsknoty za człowiekiem wielkim, zdolnym pchnąć Włochy na szerokie gościńce szczęśliwego rozwoju — poczuł się wreszcie zmuszonym, po niespełna dwóch latach swych rządów, do ekspiacji, wyrażając w mowie do Senatu pragnienie przywrócenia parlamentowi pełni praw i szacunku, byle tylko zechciał obradować.

Zabiwszy w młodzieży faszystowskiej pierwiastki szlachetne, budząc i rozdmuchając w nich bestję, pragnąłby dzisiaj zdobyć parawan woli parlamentu dla ściśnięcia ich w karby dyscypliny, widząc w tem konieczny warunek ratowania się przed klęską osobistą, która zresztą, przy obecnym stanie umysłów milicji faszystowskiej, mogłaby wywołać bardzo ciężkie komplikacje, jeśli nie wojnę domową.

Mussolini zdaje sobie już zapewne sprawę z tragicznego nieporozumienia, którego jest autorem i reżyserem. To co miało być wielkim odrodzeniem Włoch stało się przyczyną ich rozdarcia wewnętrznego, które w chwili obecnej doszło do ostrego zaognienia.

Trudno jest zdać sobie dokładnie sprawę z całokształtu niebezpieczeństwa, wobec którego stanęła Italja. Surowa cenzura nie dopuszcza do ciekawego ucha świata wiadomości zbyt dokładnych. Nie wiemy prawie zupełnie nic o sile komunistów, którzy mogliby znacznie skomplikować sytuację. Trudno również wyrobić sobie sąd o taktyce na dalszą przyszłość antyfaszystowskiej mniejszości parlamentarnej.

Miejmy wszakże nadzieję, że, mimo nawet wzrastającego terroru czarnych koszul, obejdzie się bez silniejszych wstrząsów.

Jedno tylko zdaje się być pewne, a mianowicie likwidacja dyktatury faszyzmu i Mussoliniego. Nauka Machiavella, której tak hołdował *il Duce*, okazała się bardzo zawodną. Pogarda dla ludzkości i traktowanie jej jak kupy piasku, którą można dowolnie przesypywać, jest tylko kpina ze zdrowego rozsądku. Zdaje się mieć rację senator, b. minister spraw zagranicznych, Sforza, który w ostatniej swej mowie oświadczył: „Włochy obudziły się wstrząśnięte okropnością zbrodni, a Matteotti umierając zwyciężył“.

Zwyciężyło prawo, umarła dyktatura.

W. Stpiczynski.

Ignorancja świata urzędowego.

Czego się nie wie we Francji, a w Paryżu mniej niż gdziekolwiek indziej, to tego, że świat urzędowy, a więc ministrowie, prefekci, policja, osoby zasklepione

w kole parlamentarnem, jest najmniej dobrze poinformowany o tem, co się dzieje wśród ludu i pośród żołnierzy.

...Czynimy tę uwagę ze szczerem pragnieniem, żeby się nad nią poważnie zastanowił naczelnik państwa.

Adam Mickiewicz.

(Trybuna Ludów, 22 kwietnia 1849).

Prawidła gry.

Gracz, który usiadł do baka, z góry wie o tem, że dziewiątka w tej grze bije ósemkę, a trójka dwójkę. Nie jest to żadną koniecznością logiczną, ale takie jest prawidło gry i kto chce grać musi się jemu poddać, i nie może w środku partji nagle oświadczyć: „A ja uważam, że to jest nieusprawiedliwione i chcę żeby uznano, że moja ósemka pobiła dziewiątkę“, bo wtedy gra, jako taka, stała by się niemożliwą.

Tak samo w stosunkach parlamentarnych. Z chwilą, gdy ustalono, że dla uniknięcia odwoływania się w każdym wypadku do woli narodu, wyrażanej plebiscytem — rządzić mają ci ludzie, którzy cieszą się zaufaniem parlamentu, jest to prawidło gry, które można uważać nawet za absurdalne, o ile się jest zwolennikiem koncepcji komunistycznej albo też faszystowskiej, ale któremu poddać się należy, o ile się chce rządzić legalnie. Rozumieją to w krajach o wyrobionej tradycji parlamentarnej, i tam minister, który nie znalazł większości, nawet jeżeli głosowanie było przypadkowe, *vote de surprise*, bezwzględnie ustąpić musi. U nas zaś stworzono nowy *modus procedendi*. — Sejm odmówił zaufania ministrowi, i ten podał się do dymisji. Wobec tego premier odbył konferencję z marszałkiem i klubami, i oświadczył, że dymisji tej nie przedstawi Prezydentowi. Można oczywiście i tak, tem bardziej, że kluby które nieufność uchwały żadnym konsekwencji z tego nie chciały, czy też nie miały odwagi wyciągnąć. Ale precedens stworzony jest niebezpieczny.

Wszystko wskazuje na to, że u nas do zrozumienia i wyuczucia istoty parlamentaryzmu daleko. Konstytucja zaś nasza jednak parlamentarny ustrój wprowadziła. Jeżeli więc czynniki najbardziej do strzeżenia zasad parlamentaryzmu powołane, a więc rząd, marszałek i sejm sami prawideł gry przestrzegać nie będą, jeśli incydenty tym prawidłom wyraźnie przeczące jak projekty ustaw o pełnomocnictwach i przekraczanie tych pełnomocnictw (vide ustawa o waloryzacji), i jak casus z ministrem Hübnerem będą się mnożyły, to społeczeństwo oczywiście tem bardziej prawideł tej gry uszanować nie zechce.

„W Polsce, jak kto chce“ — to jest zasada, która w zbyt wielu umysłach tkwi jeszcze podświadomie. Jeżeli chcemy dojść

do tego aby być społeczeństwem i państwem istotnie zachodnio europejskiem, tośmy powinni się starać zasadę tę wytepić, pilniej i baczniej niż gdziekolwiek indziej praworządności przestrzegać, a nie dawać gorszącego widowiska lekceważenia jej przez tych właśnie co do strzeżenia jej są powołani, widowiska parlamentu, który sam swych praw i prerogatyw nie broni. *Quis custodiet ipsos custodes?*

Państwo a kościół.

Rozprawa sejmowa nad budżetem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświaty wprowadziła na porządek dzienny zagadnienie stosunku Państwa do kościoła. Ściśle biorąc, zagadnienie sprowadza się do rozstrzygnięcia dylematu: czy polityka państwowa ma być krępowana wolą uprzywilejowanego kleru rzymskiego i stolicy Apostolskiej, lub też nie.

Dotychczas stosunek Polski do Rzymu nie jest jeszcze określony i w myśl brzmienia ustawy konstytucyjnej ma tego dokonać konkordat. Jest to niewątpliwie najważniejsza umowa, jaką państwo nasze ma się związać z czynnikiem zewnętrznym, albowiem dotyczyć ona będzie ściśle szeregu pierwszorzędnych znaczenia zagadnień polityki wewnętrznej.

Wiemy z doświadczenia, że polityka Watykanu bardzo często przechodzi do porządku dziennego nad interesami Polski. W rzeczy samej, jako kraj w znacznym stopniu katolicki, nie przedstawiamy, narazie przynajmniej, żadnego niebezpieczeństwa dla interesów papieżstwa. Nie ma ono też potrzeby zabiegać o nasze sympatje.

Inaczej rzecz się ma z naszymi sąsiadami: Niemcami i Rosją.

Niemcy, z poważnie rozwiniętym protestantyzmem, są, z punktu widzenia interesów Watykanu, conajmniej nie pewne. Nie mało też zabiegów czynią papieżu, by nie utracić tam swoich wpływów. I nie powinno być żadnych złudzeń, że ilekroć w sporze pomiędzy Polską a Niemcami, będzie musiał zabrać głos Watykan, nie będzie to głos przyjazny dla Polski. Już podczas plebiscytu na G. Śląsku mieliśmy żywy przykład tego stosunku, pełnego nie tylko nieżyczliwości, ale wprost niesprawiedliwości względem polskiej „wiernej córy Kościoła“.

Polityka papieżstwa względem Rosji pełna jest zadawnionej zalotności i tu również możemy być pewni przejścia do porządku nad naszymi interesami, jeśli staną one w kolizji z aspiracjami wschodniego sąsiada. Dla Watykanu jest kwestją nierównie ważniejszą zdobycie koncesji od każdego rządu moskiewskiego, niż angażowanie się w obronę naszych praw, np. do Galicji. Wystarczy przypomnieć bierność Papieża w sprawie arc. Cieplaka, by ocenić istotę sytuacji. Sowiety nie chciały

widzieć na stanowisku głowy kościoła katolickiego w Rosji Polaka, Niemcy pragnęły na niem osadzić swego biskupa — poszły w kął względy sprawiedliwości i nawet zwykłe uczucia humanitarne — arc. Cieplak daremnie czekał w więzieniu czre-zwyczejki wstawienictwa Papieża.

Naturalnym rzecznikiem interesów Polski wobec Watykanu powinien być kler polski. W rzeczywistości sprawa ma się wprost odwrotnie. Kler nasz, zdemoralizowany i zbogacony na wyzysku pobożnej ludności—nie odróżniającej wiary od su-tanny—jest w większości usposobiony antypaństwowo, uważając się za naturalnego zwierzchnika Rzeczypospolitej. Przecież to nie kto inny, jak polski biskup Sapiecha oświadczył buń-czucznie przedstawicielom polskiego rządu, że nie mają oni potrzeby zaprztać sobie głowy sprawą konkordatu, gdyż zostanie on im przysłany z Rzymu... do podpisu, i wszak to konsystorz katolicki w Polsce oświadczył przedstawicielowi ministerstwa sprawiedliwości, że go nie obchodzi prawo pań-stwowe, gdyż on rządzi swoim prawem kanonicznym, mimo że jest ono już dzisiaj w najwyższym stopniu anachronizmem, anarchizującym życie społeczne.

Z tych też powodów sprawa konkordatu musi wywołać najżywsze zainteresowanie i czujność opinji.

Trzeba przedewszystkiem powiedzieć wyraźnie Watykanowi, że wedle skromnego rozumienia społeczeństwa polskiego droga do Pana Boga prowadzi nie koniecznie przez jego kancelarje i że „usunięcie pierwiastka politycznego z życia religijnego“ — jak opiewa deklaracja P. P. S. wygłoszona w Sejmie — a więc rozdział kościoła od państwa, w niczem nie obraża, ani krępuje uczuć religijnych Polaków.

Ze stanowiska interesów państwa konkordat musi się stać kagańcem na ruzuchwalony w bezprawiu kler i dlatego nie może być zawierany w tajemnicy przed społeczeństwem.

W. Stpiczyński.

Cierniowe drogi nauki polskiej.

„Naród bez nauki podobny jest ślepcu, który albo zawsze stać, albo na jednym miejscu kręcić się, albo, idąc dalej, w najpierwszym dole legnąć musi.“ *S Staszic.*

„Bez nauki każda podjęta wyprawa, puszczona na los szczęścia, w samym popędzie zdarzeń kres swój i zgubę znajdzie; bez niej szkodliwe zdania w senacie, mylne wszys-tkle zdania w rządzeniu“.

Jan Zamoyski.

Nauka polska z zawieruchy wojennej wyszła, jak żołnierz inwalida: obdarta, bosa, skrwawiona i zapomniana. Nie była ona i być nie mogła benjaminkiem swego narodu, jakim była czasu wojny we Francji, Anglii, w Niemczech, lub Ameryce, — nie wyniosła z placów bitewnych znakomitego autorytetu swego pomnożenia, nie było jej danem przekonać swego społeczeń-

stwa, że nawet tam, gdzie — zdałoby się — przemawia przede-wszystkiem autorytet przelanej krwi, niemasz zwycięstwa bez udziału jej genialnego dorobku.

Nieszczęsna nauka polska rozdarta i nieledwie z łaski eksploatowana przez zaborców, wyszła z wojny zniszczona, zdziesiątkowana i w rozwoju swym zacofana. Na parnas życia wolnego narodu weszła, jak nędzarz do domu ubogiego krewnego, jak gość wprawdzie miły, ale którego ani nakarmić, ani odziać nie było czem i za co. Ani państwo bez skarbu, a uwikłane w ciężką wojnę, ani społeczeństwo wynędzniałe, a wzywane do ofiarności i świadczeń na broń i strawę dla walczącego żołnierza — nie mogli stworzyć nauce zacisznego i dostatniego warsztatu pracy.

Powstały wyższe uczelnie, ale były one raczej symbolem, niż kuźnią nauki. Poziom ich był opłakany i dzisiaj jest bardzo, a bardzo skromny. Twórczość naukowa była i jest snem głodujących uczonych, zaprzągniętych często do żmudnej i nieprodukcyjnej pracy zarobkowej. Myśl wynalazcza i zapał do pracy twórczej, zduszone dzikim cynizmem zamożnych i na ohydnej spekulacji zubożonych sfer społeczeństwa — ginie, pograżając naród w odmet zaprzepaszczenia.

Spółczeństwo, w którym rodziny poległych śmiercią bohaterką obrońców ojczyzny nie mają prawa do opieki państwa, a stupajka rewiry polskiej policji otrzymuje za swe wysługi dla okupanta pełną emeryturę; społeczeństwo, w którym powstańcy r. 63-ego umierają z głodu na ulicach, a austriacy feldfeble otrzymują rangi generalskie i generalskie emerytury; społeczeństwo, w którym złodziejstwo i wyzysk uchodzi za podziwu godny dowód talentu, a nędza uczciwego inteligenta stała się przedmiotem niefrasobliwego lub cynicznego pośmiewiska — jest śmiertelnie chore i tylko gwałtowna reakcja nielicznego elementu, wolnego od zarazy powszechnego chamstwa, może go uratować od śmierci moralnej.

Zalać potężnym strumieniem kultury to cuchnące bagno, jakieni jest polskie życie intelektualne; promieniem wiedzy przebić bezmiar mroku, otaczającego zbiorowy umysł narodu; zdobyć się na wysiłek bezkrwawej rewolucji przeciwko zwyrodnieniu moralnemu i wznosić ponad krzykliwą hałastrą, rozkradającą woła na ołtarzu Polski, wspaniały jasny słup nauki — drogowskaz dla pokoleń następnych — oto cel i oto droga ratunku, jeżeli nie chcemy dopuścić, aby gilotyna miała rozpocząć krwawę żniwo.

Niech nikt nie ogląda się na państwo, nie czeka na jego inicjatywę i interwencję. Tu trzeba zakasać rękawy i jąć się pracy, każdy na swoim posterunku, każdy od siebie i dokoła siebie. Państwo jest formą, a naród sam jest kowalem swego losu. Lecz naród, w Sejmie reprezentowany, śpi i przeżuwa skwaśniałe, zimowe, w niewoli połknięte, pokarmy.

* * *

Dzwonimy na alarm w sprawie zapomnianej, zlekceważonej nauki polskiej. Wzywamy do otoczenia jej opieką, do jednoczenia pod jej sztandarem energii i aspiracji, pracy i jej owoców — środków materialnych.

Wskazujemy cel doraźny, a jest nim Kasa imienia Józefa Mianowskiego, najstarsza i najpoważniejsza polska instytucja naukowa, podcięta w swej zbawiennej egzystencji. Po 43-ich latach pracowitego i owocnego żywota, zgromadziwszy dorobek tysiąca z górą prac naukowych, staje wobec groźby zagłady, wówczas, gdy zdawałoby się, powinna wreszcie rozwinąć szeroko swą działalność.

Wraz nią zginie jedyna przystań dla uczonych, zginie najistotniejsza gwarancja rozwoju i życia narodu. „Żyjemy w chwilach przełomowych — stwierdza sprawozdanie Komitetu Kasy — pamiętajmy o podtrzymywaniu twórczości naukowej, źródeł naszej kultury; brak uprawy naukowej będzie nas kosztował drożej, niż jej szerzenie“.

Trzeba tylko wyraźnie ustalić, kto musi wziąć na swoje barki odpowiedzialność i obowiązek pamiętania. Pozbądźmy się złudzeń, że uczynią to ci „czcigodni“ magnaci ziemianie i przemysłowcy, którzy rozgrabili skarb narodowy, a w pojęciu których popieranie nauki jest ostrzeniem miecza na własne gardła. Pozbądźmy się złudzeń, że poświęcą oni jedną hulankę dla uratowania od zagłady dzieła naukowego. Nigdy. Nauka jest potrzebą zbiorowisk wspinających się po szczeblach ewolucji do ideału swych szczytnych aspiracji, a wrogiem oportunistów, zasklepionych, aż do prowokowania katastrofy, w egoizmie materialnym. We wspólnym froncie obrony nauki musi się skupić element żywotny, walczący o cele przed nim, a nie poza nim, stojące — nauka jest bowiem największym rewolucjonistą świata.

I dlatego nie zgniłe „góry“, ale „doły“ społeczeństwa muszą podchwycić i w czyn wcielić hasło, rzucone przez Stefana Żeromskiego: „Ratujmy! Wspierajmy! Stwórzmy nanowo kasę imienia Mianowskiego“.

W. Stpicyński.

Prezydent Gabrjel Narutowicz *)

Karty dziejów oświetla czasami błyskawica czynów tak, w dobrem czy złem, potężnych, że niemasz — aby je zgasić — środków dość silnych, a skutecznych. Pomniki chwały i pomniki hańby w niezakłóconej ciszy dni minionych ciążyą na

*) „Prezydent Gabrjel Narutowicz“ — *Tadeusz Hołówko*, z przedmową *Artura Śliwińskiego*. Wydawnictwo Komitetu uczczenia pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

losach narodów — niewzruszone, potężne. Usiłować obalać je rękoma współczesnych ich budowie — trud daremny.

Są trumny, nad którymi szlochającej ludzkości rzucony arogancko imperatyw: „ciszej“, jest ostatnią kroplą goryczy wyzwalamą najtajniejsze rozpacz żywioty; są trumny, których nie może uszanować tylko splamione sumienie zbrodniarza. Są wreszcie trumny, które swoim potężnym ciężarem spadają na szale losów narodów i stają się najistotniejszym życia tworzywem, sztandarem najwznioślejszych ideałów ludzkości.

... Najdroższe skarbnice niewyczerpanego światła, promieniające na wielomiljonowe rzesze narodu mocą budzenia serc i dusz szlachetności, ujarzmiania zła, ohydy, podłości, występku i zbrodni szaleństwa...

... Wyniosła trumna pierwszego Rzeczypospolitej Prezydenta, trumna pięknego serca i wielkiego ducha obywatela Gabrjela Narutowicza.

Majestat człowieczeństwa doskonałego, majestatem Polski opromieniony — ugodzony kulą skrutobójczą, zbiorowego zbrodniarza ręką kierowaną — stał się, stać się musiał, czem jest już dzisiaj, a czem jutro będzie w całej potędze swej władzy — symbolem tęsknot swego narodu do szlachetności serca i umysłu, do wlotu ducha ponad trujące opary błota, nanieśione na polskie łąny przez falę dziejowej burzy.

Gabrjel Narutowicz — w świetle całego swego życia i pełnego chwały, tragicznym akcentem podkreślonego, epilogu — jest najistotniejszym symbolem męczącej walki, w jakiej odbywa się ewolucja psychiki narodowej. W całej swojej pięknej strukturze duchowej i umysłowej był on na naszym, wiatrami północno-wschodnimi zmrożonym i przepojonym, gruncie, apostołem mądrego Zachodu i słonecznego Południa. Był, jak-gdyby niewidzialną ręką życzliwego losu, wychodowany w cieplarni kwiat, poto, by przeniesiony na nasze ugory duchowe w chwili wyzwolenia ich z kajdan niewoli, i wyniesiony na czoło narodu, symbolizował i wskazywał ścieżki i kierunek aspiracji intelektu polskiego. I jakby dla podkreślenia na jak straszne zesłiliśmy bezdroża, jak głęboko jeszcze tkwimy w mroku, z którego wyzwolenie się jest warunkiem życia wolnego; jakby dla rzucenia znieczulonemu moralnie narodowi ostrej, gwałtownej, tragicznej przestrogi — padł z ręki tych, w których psychice kryją się najgroźniejsze nieszczęść zadatki. Ożywczy powiew zachodu przesycony subtelnym zapachem kultury i przepojony słońcem radosnego rozumu — zginął w straszliwej atmosferze wyziewów nieokiełzanego chamstwa i dusz przez trąd toczonych.

Zginął. Ale jest to śmierć twórcza, śmierć z kórej rodzi się wielki, narastający kapitał tęsknoty za czemś co było tak piękne, tak subtelne, tak ożywcze, tak zbawienne... tęsknoty nad miarę cierpiącego chorego za lekarzem, który leczył okra-

szoną błogostawionym uśmiechem wiarą w tryumf woli człowieka: być zdrowym, lekarzem, który kochał chorego i wybaczał mu wszystkie odrażające wybryki — nie tracąc ani zapału, ani wiary w jego wyzdrowienie. I musi wzrastać, potężnieć i zwyciężyć tęsknota za lekarzem, który z wruszającego zażenowania własnym zdrowiem wobec chorego, czerpał wskazania pokory dla siebie.

Przez porównanie z rzeczywistością dnia dzisiejszego Gabrjel Narutowicz wyrasta do konturów wielkości, jaką był w życiu i jaką, wielkim odczuciem i rozumem wiedzona, większość Zgromadzenia Narodowego powołała na przodujące państwu i narodowi stanowisko, a jaką tylko częściowo można było ocenić w tym nad podziw skromnym obywatelu, zanim skrytobójcza kula nie rozdarła zasłony powszedniości, jaką się starranie osłaniał.

Wszakże nie łudzimy się. Nie od razu wszystkie w Polsce głowy pochyla się w hołdzie nad Jego trumną i nie prędko wszystkie umysły odczują tęsknotę do jasnego świata, którego posłem był pierwszy Rzeczypospolitej Prezydent. Przeciągły syk: „ciszej nad tą trumną“ przez szereg lat jeszcze będzie sygnalizował ciężką agonję ducha ujarzmionego i upodłonego w niewoli. To co trędowate, w trądzie umrze. Śmierć ich będzie dopiero ostatnim aktem powrotu narodu do życia wolnego, do jakiego wskazywał drogę Gabrjel Narutowicz.



Gdyby Tadeusz Hołowko nie był mi serdecznym i bliskim przyjacielem, miałbym swobodę napisania o nim, jako człowieku i pisarzu, słów entuzjazmu cisnących się pod pióro. Jego książka o Prezydencie Gabrjelu Narutowiczu jest bowiem odzwierciedleniem nie tylko talentu pisarskiego autora, ale w równej mierze jego kryształowego charakteru, szlachetnego umysłu i płomiennego serca.

Ale nie chcę aby ludzie przekorni, a przedewszystkiem przeróżne pieski z obozu zbrodni miały pretekst do rozwijania swych jaszczurczych polotów na temat przyjacielskiej oceny pracy Tadeusza Hołowki. A będą musieli wysilić się nad uwarzeniem dlań beczki trucizny, bowiem zabił on swoją książką całą argumentację moralnych sprawców zbrodni, jaką rozwinęli przed społeczeństwem dla usprawiedliwienia, ba! okrycia aureolą idealnych przesłanek strasznego czynu. I nie tylko zabił. Obnażył wszystkie źródła i pobudki skrytobójstwa, a przez proste zestawienie ich z jasną postacią Gabrjela Narutowicza, uwydatnił ich nigdy nie zmazaną ohydę.

Prawda płynąca z kart tej książki jest okrutna i bolesna, jak rzeczywistość; jest zarazem czynem twórczym, bo bogaci

historję polską o jednego wielkiego, nieznanego omal, obywatela, uczonego i statystę; pomnaża sławą geniuszu narodowego, który wydał człowieka miary Gabrjela Narutowicza.

W. Stpiczyński.

Otwarte serce p. Heriota.

PAT. doniósł w depezy, że p. Heriot oświadczył naszemu posłowi, p. Chłapowskiemu, że po powrocie z konferencji Mac Donaldem porozmawia z nim „ze spokojną głową i otwartem sercem”. Nie zwróciliśmy na to uwagi, gdyż do komicznych przekładów z francuskiego w tekstach urzędowych jesteśmy niestety aż nadto przyzwyczajeni. Z chwilą jednak, gdy publicyści na tem „otwartem sercu” się opierają i snują z tego wyrażenia konsekwencje, uważamy, że sprostowanie jest konieczne. Otóż „causer a coeur ouvert” nie oznacza bynajmniej, jakby się temu co poszczególne słowa mozolnie w dykjonarzu odnajduje wydawało „rozmawiać z otwartem sercem”, a dużo skromniej i prościej: „rozmawiać szczerze”.
Różnica dość poważna.

Moralność „narodowa”...

Centralny organ Narodowej Demokracji *Gazeta Warszawska*, która wykleła i od praw do życia odsadziła wszystkich obywateli polskich wyznania mojżeszowego i szczęścia dla Polski bez pogromu nie widzi, pismo, w którym cała kolekcja niepoczytalnych starców popisuje się płaskim żydożerstwem, w nr. 144 podaje ogłoszenia następujących firm handlowych: „M. Eitingon i S-ka”, „Widzewska Manufaktura (Uszer Kohn — P. R.) dawniej „Heintzel i Kunitzer”, „H. Landsberg”, „Krusche i Ender”, „Samuel Steinman i Artur Aronson”, „Leonhardt, Woelker i Girbardt”, „A. G. Boryst”, „Herman Faust i S-ka”, „Bornstein” i t. d. Nie jest to oczywiście wypadek odosobniony. Tak jest stale, we wszystkich numerach, w których szlachetne to pismo może się pochwalić płatnem ogłoszeniem. Nie jest bez znaczenia, że to żydożerze i podobno „narodowe” polskie pismo nie umie zdobyć ogłoszeń firm polskich, natomiast żyje za pieniądze żydowskie. W tych warunkach całe żydożerstwo *Gazety Warszawskiej* robi wrażenie niewinnego szantażu obliczonego na zmuszenie Żydów do znoszenia rozgniewanej gazetce pieniędzy — na uspokojenie nerwów.

A czytelnicy myślą że to wszystko robi się w imię wysokich ideałów, poważnie, i że pp. Pieńkowski, Zamorski, Hłasko lub Wasilewski trzymają w szufladach wyostrzone może na żydowskie gardła. Omyłka. Tylko na kieszenie.

W. S.

Jeszcze o stosunkach w P. K. O.

W poruszonej przez nas sprawie niezdrowych stosunków w P. K. O., ceniony autor „Młodego Lasu” i innych utworów scenicznych, p. Jan Adolf Hertz nadesłał nam list następującej treści:

„Po przeczytaniu artykułu „Niezdrowe stosunki w P. K. O.” w № 41-ym poczytnego Jego pisma mam sobie — jako królewiak — za obowiązek prosić Szanownego Pana Redaktora o wydrukowanie, w imię prawdy,

kilku poniższych słów sprostowania, dotyczących się niektórych szczegółów omawianego artykułu.

„Pracując w P. K. O. od chwili jej założenia, mogę z czystym sumieniem zaświadczyć, że Prezes Linde nie tylko nie proteguje „austrijskich patriotów i wiedeńskich biurokratów”, lecz zakładając P. K. O., zwrócił się do Związku Bankowców w Warszawie o dostarczenie urzędników i na najbardziej odpowiedzialne stanowiska powołał ludzi tutejszych. I tak: Dyrektorem Technicznym i Naczelnikami 2-ch najważniejszych Wydziałów są królewiaci, zaś Dyrektorem Oddziału w Krakowie jest polak, który kształcił się i większą część życia spędził w Rosji.

„Jeśli zaś chodzi o traktowanie personelu P. K. O. przez Prezesa Lindego i Vice-Prezesa Żelechowskiego, to z całą stanowczością stwierdzić mogę, że jest bezparteczne i jaknajbardziej życzliwe. Istotnie p. Żelechowski przez pewien czas niedomagał, lecz niedomaganie to nie miało nic wspólnego z rozstrojem nerwowym, a było zwykłym przepracowaniem, spowodowanym tem, że p. Żelechowski przez pierwsze lata organizowania P. K. O. pracował po kilkanaście godzin dziennie.

„Racz Szanowny Redaktorze przyjąć wyrazy mego prawdziwego szacunku”.

Dla autora powyższego wyjaśnienia, jako literata, mamy pełny szacunek. Jednakże nie możemy pozostawić bez paru słów odpowiedzi jego wystąpienia w sprawie P. K. O.

Nie będziemy podejmować dyskusji na temat: czy p. Linde proteguje, lub nie, urzędników austrijskiej szkoły. Potwierdzamy również, że istotnie, p. Linde organizując P. K. O., zwrócił się do Związku Bankowców o dostarczenie urzędników i że zaangażował 63 jego członków. To też początkowo stosunki w tej instytucji nic, lub zgoła niewiele pozostawiały do życia. Później jednak sytuacja uległa zmianie i dzisiaj, gdy centrala P. K. O. zatrudnia ponad 1.000 pracowników, 63 pracowników ze Zw. Bankowców nie stanowią zbyt imponującego procentu, ani też nie mogą wpływać decydująco na charakter instytucji.

Nasz korespondent przytacza na dowód bezstronności p. Lindego fakt, że Dyrektor techniczny i 2 naczelnicy wydziałów są królewiami z pochodzenia. Potwierdzając ten fakt, nie możemy wszakże nie zauważyć, że natomiast Prezes, v. Prezes, Dyrektor Administracyjny i naczelnicy 7-miu wydziałów są galileuszami. Czy to zestawienie nie świadczy o tendencji aż nazbyt zaawansowanej?

A dalej argument, potrącający o jeden z ważniejszych problemów gospodarki personalnej w większości naszych urzędów, z P. K. O. włącznie: „Dyrektorem Oddziału w Krakowie jest polak, który się kształcił i większość życia spędził w Rosji”.

Jakkolwiek pochodzenie jego, miejsce wychowania i t. d. nie są tu wymienione, to jednak łatwo wywnioskować, że nie można było zrobić fatalniejszego posunięcia, jak człowieka z rosyjskim wykształceniem urzędniczym i na rosyjskim prawie wychowanego, powołać do b. Galicji, gdzie będzie musiał parę lat przystosowywać się do zgoła odmiennych podstaw pracy.

gdzie siłą rzeczy będzie się musiał zetknąć z austrijackimi (niemieckimi) kodeksami, niemiecką literaturą administracyjną i t. d., podczas, gdy mógłby doskonale zająć miejsce któregoś galileusza, ściągniętego do Warszawy, który z kolei, byłby właściwszy na stanowisku w Krakowie.

Czyż takie tasowanie ludzi, połączone zazwyczaj z komplikacjami rodzinnymi, nie jest dowodem dziwnego bezhołowia?

Bronimy urzędów centralnych przed nalotem urzędników z austrijacką rutyną i być może, niektórzy z nich uważają to za objaw niechęci względem dzielnicy kraju. Nic podobnego. Stanowisko nasze jest wynikiem dwóch zasadniczych przesłanek: 1) Galicja ugięła się pod ciężarem nadmiaru urzędników, fabrykowanych przez rząd austriacki — w zupełnie określonych celach politycznych — masowo, bez żadnej potrzeby. Po zlikwidowaniu Austrii, z Wiednia powróciła do Polski również pokaźna ilość urzędników. Oczywiście, Polska nie mogła zachować wszystkich przez okupantkę potworzonych fikcyjnych urzędów, nie mogła tem więcej rozbudować ich dla bezrobotnych wiedeńczyków. Zatrzymano tedy element lepszy, reszta odpadła. I otóż cała ta reszta, element urzędniczy słabszy i najslabszy, rzucił się na Warszawę, na ministerstwa i inne urzędy publiczne, i korzystając ze sprzyjającej konjunktury w okresie organizacji, obsiadł co wyższe stanowiska w imię dziwnej przesłanki, że tylko otarcie się o jakikolwiek urząd austriacki daje tytuł do fachowości. To pierwsza prawda.

A teraz 2-ga: Nadmierny przerost urzędów austriackich musiał doprowadzić do zwyrodnienia biurokracji. Każdy urzędnik dążył do stworzenia jakiejś fikcji pracy, motywującej jego niezbędność. Wysilano tedy nie mało dowcipu nad wynalezieniem sposobu załatwiania najprostszej sprawy w najbardziej skomplikowany sposób — prowadzenia jej przez możliwie nieskończoną ilość rąk.

Ta metoda została żywcem przeniesiona przez b. urzędników austriackich na grunt polski z dwóch przyczyn: a) nalogu myślowego tych urzędników, b) tendencji przygarnięcia na państwowe urzędy wszystkich bezrobotnych przyjaciół.

I oto budżet państwowy trzeszczy od paru lat pod ciężarem tej zabójczej ociążałej maszyny administracyjnej, wywołującej ponadto najwyższe rozgoryczenie ludności. Ta plejada „koszulek“, „brudnopisów“, „czystopisów“, „konceptów“ „parafek“ i innych absurdów, pachłaniająca miliony tonn papieru, zbędną pracę tysięcy urzędników i t. d. — jest przekleństwem naszej administracji. Gdyby się znalazł cierpliwy człowiek, któryby obliczył ile państwo straciło na tych tysiącach, wiecznie zmienianych, wzorach druków, formularzy, kwestjonariuszy, i bezowocnie utopionej w tem pracy, okazałoby się, że mogli-

byśmy za te pieniądze uzbroić luksusowo od stóp do czubka głowy naszą armję, oraz potężnie dzwignąć oświatę.

To są przesłanki nakazujące gwałtowną walkę z austrijacką rutyną urzędniczą i jej przedstawicielami.

Powracając jeszcze do sprawy P. K. O. podkreślamy, że p. Jan Adolf Hertz nie porusza w swym liście osoby p. Dzierżanowskiego, Dyrektora Administracyjnego, przyjaciela Witosa i Kucharskiego, oczywiście galileusza, który ponosi wielką część odpowiedzialności za zabagnienie stosunków w tej instytucji. I jeśli p. Linde jest istotnie człowiekiem bezstronnym ma doskonałą okazję zademonstrowania tego społeczeństwu, usuwając p. Dzierżanowskiego z P. K. O. i powołując na odpowiedzialne stanowisko kierownika spraw personalnych instytucji zatrudniającej 1¹/₂ tysiąca urzędników, człowieka poważnego i sumiennego.

Zobaczmy, jak wygląda bezstronność p. Lindego.

w. s.

W związku z art. zamieszczonym w nr. 41 naszego pisma: „Niezdrowe stosunki w P. K. O.“, na podstawie zbadania u miarodajnych czynników przytoczonych za krakowskim *Ilustrowanym Kurjerem* zarzutów pod adresem p. Makowieckiego, jakoby korzystał dla swego banku z kredytów P. K. O. za pośrednictwem wyższych urzędników tej instytucji, stwierdzamy, że fakt podobny nie miał miejsca. Bank p. Makowieckiego nigdy żadnych stosunków z żadnymi urzędnikami państwowych instytucji kredytowych, ani skarbu nie utrzymywał i kredytów tych instytucji nie korzystał. Natomiast fakt podobny miał miejsce w banku Centralnym, którego prezes Zawadzki usiłował zdobyć stosunki, w P. K. O. przez pozyskanie względów wyższych jej urzędników, co zresztą, jak wynika z listu p. Wyszogroda zamieszczonego w nr. 42 *Głosu Prawdy*, skończyło się niepowodzeniem. Przeciwno p. Zawadzkiemu, jak wiadomo, z tego i innych powodów toczy się dochodzenie karne w Warszawskim Sądzie Okręgowym.

Wyrównanie krzywdy.

W artykule p. t. „Kwalifikacje“, zamieszczonym w nr. 41 naszego pisma, podane zostały w wątpliwość kwalifikacje p. Antoniego Robaczewskiego, szefa ekspozytury Komisarjatu Rządu w Warszawie.

Dzięki uzyskanym w międzyczasie autorytatywnym informacjom, popartym dokumentami, możemy z zadowoleniem donieść naszym czytelnikom, że wątpliwości były płonne. P. Robaczewski jest jedną z wybitniejszych sił urzędniczych w służbie administracji politycznej, a to dzięki zdolnościom organizacyjnym i poważnym studjom w dziedzinie prawa administracyjnego. Wyrazem tych studjów są ogłoszone drukiem obszerniejsze prace: „Uprawnienie do rekursu w postępowaniu administracyjnym“, „Zastępstwo służbowe w urzędzie administracyjnym, a ważność aktów administracyjnych“, „Nietykalność poselska w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z dn. 17 marca 1921 r.“ oraz praca napisana wespół z prof. prawa administracyjnego w Wolnej Wszechnicy Polskiej p. Hilarowiczem p. t. „Rekurs czy odwołanie?“, „Za zasługi położone w dziedzinie organizacji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych“ p. A. Robaczewski odznaczony został orderem Odrodzenia Polski.

Co każdy obywatel powinien przeczytać?

1) Naczelnik Wodzowie — *Józef Piłsudski* i *Miles*. Wydawnictwo miesięcznika „Droga“.

2) Rok 1863 — *Józef Piłsudski*. Wydawnictwo T-wa „Ignis“.

3) Względy i urzędy — *Jan Dąbrowski*. Wydawnictwo miesięcznika „Droga“.

4) Ludzie Nikczemni — *Józef Wasowski*. Wydawnictwo miesięcznika „Droga“.

5) Naród, Wódz i Wojsko — *Artur Śliwiński*. Wydawnictwo miesięcznika „Droga“.

6) Prezydent Gabryel Narutowicz — *Tadeusz Hołówo*. Wydawnictwo Komitetu uczczenia Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej.

7) Uwagi — *Prof. Szymon Askenazy*. Wydawnictwo T-wa „Ignis“.

WYSZŁA Z POD PRASY BROSZURA

p. t.

RZĄD CHJENO-PIASTA PRZED SĄDEM

zawierająca sprawozdanie z 11-stu procesów redaktora *Głosu Prawdy* o obrazę rządu *Witosa*, *Seydy*, *Szeptyckiego*, *Kiernika*, *Kucharzkiego* i *Swolkienia*.

Do nabycia w księgarniach, wszystkich kioskach, na dworcach kolejowych i u ulicznych sprzedawców pism.

Cena egzemplarza 2 zł.

Pp. abonentom naszego pisma, opłacającym prenumeratę w *Administracji*, broszura wysłana będzie bezpłatnie po nadesłaniu porta, markami pocztowymi, w wysokości 20 groszy.

Treść № 42-go: Krwawe owoce eksperymentu faszystowskiego — *W. Stępczyński*. Ignorancja świata urzędowego. Prawidła gry. Państwo a kościół — *W. Stępczyński*. Cierniowe drogi nauki polskiej — *W. Stępczyński*. Prezydent *Gabryel Narutowicz* — *W. Stępczyński*. Otwarte serce p. Herriota. Moralność „narodowa” — w. s. Jeszcze o stosunkach w P. K. O. — w. s. Wyrównanie krzywdy. Co każdy obywatel powinien przeczytać?.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3 złote. Zagranicą kwartalnie 5 złotych.

Konto czekowe w Pocztovej Kasie Oszczędności Nr. 3288.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stępczyński**.

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA”, Moniuszki 11.